

## ROZDZIAŁ 6

### DO PRACY

Jedenastego czerwca miałam już gotowy plan przygotowania budynku na przyjęcie młodzieży, która miała zgłosić się na pierwszy 6-miesięczny kurs pedagogiczny.

Praca rozplanowana na okres trzech tygodni obejmowała:

- wywózkę śmieci;
- wyszukiwanie i zwożenie mebli;
- zwózkę opału i prowiantów.

Do wykonania tego potrzeba mi było przede wszystkim rąk ludzkich, bo daj pary koni i... pieniędzy.

Ludzi do pracy dostanie pani z Urzędu Pracy, a o opłacanie ich niech się pani nie troszczy. Wystarczy pisemko z Liceum, dobrze uzasadnione – powiedział Burmistrz.

Z „pisemkiem dobrze uzasadnionym” zjawiam się w dniu 11 czerwca 1945 r. o godzinie szóstej rano na rynku miasta Złotowa przed Zarządem Miejskim. Mieścił się tu też Urząd Pracy. Stałam zdumiona. Rynek wypełniały szeregi mężczyzn i kobiet, stojących w postawie poważnej, w milczeniu. Przed nimi grupka ludzi poruszających się swobodnie, głośno rozmawiających.

– Co to takiego?

– Ach, to Niemcy. Urząd Pracy rozdziela ich do roboty, do różnych instytucji. Podeszłam do Dyrektora, który tu także się zjawił.

– Skąd tylu Niemców się zebrało.

– Oni tu dawniej mieszkali. Gestapo zarządziło ucieczkę przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Podobno tych, którzy nie chcieli opuszczać swoich domów gestapowcy rozstrzelali na miejscu. Uciekali więc z tobołkiem na plecach, z dziecinnym wózkiem przed sobą – w głąb Niemiec. Stamtąd nędza i władze okupacyjne zachodnie pędzą ich z powrotem do ich dawnego miejsca zamieszkania. Powracają, codziennie szosą berlińską płynie ich cała fala. Idą

przeważnie rankami i wieczorami. Padają ze znużenia i głodu. Niemcy nie są tacy wytrzymali jak my. Widzi pani tę Niemkę chwiejącą się na nogach? To była niegdyś najbogatsza osoba w tutejszym mieście – mówi Dyrektor.

A tamta? – pokazuję Dyrektorowi stojącą w szóstym szeregu wypielegnowaną jak reklama „Nivei” kobietę. Ale nawet najprzedniejszy róż nie jest w stanie ukryć bladości jej zapadłych policzków. Ręce opuściła wzdłuż wychudłego ciała i zaciska pięści z całych sił. Chwilami rozciera dłonie jakby drętwiejące z zimna czy bólu.

– Ta? Ach, ta – to żona inżyniera i dyrektora fabryki środków spożywczych, tych różnych „ersatzów”. Sama też inżynier. Właściwie to oni oboje nawet hitlerowcami nie byli.

– A ten? W drugim szeregu? – Starszy pan, pewno po sześćdziesiątce, wyprostowany, wysportowany, w myśliwskim stroju zniszczonym, ale jeszcze bardzo czystym. Opierał się na lasce. Laska i ręka na niej drżały. Oczy okryte były niebieskimi okularami. Wargi sine, zaciśnięte. Wiatr rozwiewał siwe, gęste, falujące włosy. Wypielegnowaną, rasową ręką poprawiał od czasu do czasu fryzurę.

– To właściciel kilku piekarni i małego mająteczku za miastem. Ojciec trzech synów, którzy zginęli „za Hitlera”. Hitler osobiście dziękował mu za ofiarę złożoną „Heimatowi”. Obiecywał wielką nagrodę po zwycięstwie nad całą Europą.

– Ot i ma nagrodę. A tych dwoje w trzecim szeregu?

– Dyrektor chwilę przypatruje się dwojgu młodym. Ona ma 15÷16 lat, on niewiele starszy. Buty Hitlerjugend nie starła jeszcze z ich twarzy nędza ani praca.

– To dzieci lekarza z Berlina. Ojciec wysłał ich tutaj, do Złotowa, do babki, aby uchronić przed bombardowaniem. Istotnie uchronił. Oni żyją, a oboje rodzice zginęli. Babka zmarła ubiegłej jesieni. Gospodarowali sami, ale nie zaprzestali hitlerowskiej roboty między młodzieżą. Ona pięknie śpiewa i gra, a on maluje.

– Piękna Gretchen jakby wyczuła, że o niej mówimy. Podniosła duże niebieskie oczy, w tej chwili aż granatowe ze złości.

– Patrzę na to mrowisko ludzi uginających się pod ciężarem zmęczenia i upokorzenia. Oblizują spieczone z głodu wargi, drżą ze zmęczenia. A jednak nie – nie doznają wcale uczucia litości.

Nie mogę na to targowisko ludzkie patrzeć – mówi Dyrektor. Chyba pójdę. Pani sama zabierze pracowników, dobrze?

– Dobrze, panie Dyrektorze. Tylko dziwię się, że pan nie może na to patrzeć. Właśnie pan. Po tylu letnim obozie powinien pan mieć całą satysfakcję.

– Nie. Nie mam żadnej. Jeszcze pół roku temu stałem w takim samym „glidzie”, tylko że z nami obchodzono się o wiele, wiele gorzej. Byłem numerem, nie człowiekiem. Ale nie jestem zdolny do upodlania ani siebie, ani drugich.

– A do zemsty?

– Do zemsty? – zastanawia się. I do zemsty nie. Zbyt wiele cierpiałem, zbyt wiele męki ludzkiej widziałem. Nie chcę przyczyniać jej nikomu.

– A ja ich nienawidzę. Będę upokarzać ich prusacką butę na każdym kroku – wyskoczyło ze mnie zapiekłe uczucie nienawiści.

Dyrektor westchnął i nic nie odpowiedział. Odszedł, kiedy wezwano mnie do wybrania sobie pracowników. Z satysfakcją wskazałam na dwie damule we wspaniałych korkowcach i francuskich, jedwabnych pończochach.

– Przy zasypywaniu latryn połamię i podrą im się te tam wspaniałości – mówię z całą złośliwością. Kiedy wskazałam na jedną z tych damulek, zachnęła się niechętnie. Podeszłam do niej bliźutko, ze zmrużonymi oczyma i z rękoma w kieszeniach zakietu. Damulka zbladła. Zielony strach pobielił nawet róż na jej policzki.

Dobrałam sobie 12 pracowników i zaprowadziłam ich do Internatu. Tu zaczęłam rozdzielać im pracę.

Dwu mężczyzn stanęło do rozbiórki „bani”, dwu innych – do wywożenia taczkami śmieci z podwórka Internatu, cztery „damulki” do zasypywania latryn, dwie kobiety do mycia ścian i okien.

Z dwiema starszymi Niemkami poszłam do piekarni po chleb. Otrzymałam 24 bochenki. Świeży, ciepły chleb zapachniał w budynku Internatu. Zbudził nadzieję... Zadrzała ona w szeptach pracujących w milczeniu ludzi. Rozdygotały się ich pobladłe z głodu usta, roztrzęsły się ręce mdlejące z osłabienia. Sięgnęłam do swego ubożuchnego zapasu słów niemieckich:

– Brot habe ich um zwanzig Uhr gegeben. – Zrozumiano mnie.

– Och, mein Gott – jęknęła jedna z kobiet. Głód podrażniony zapachem chleba szarpał wnętrzności i burczał głośno. Starszy, szykowny pan dostał torsji.

– Trzy godziny pracowali. A chleb pachniał... Odczuwałam ich męczarnię. Była ona aż nadto jawna.

O godzinie dziesiątej weszłam do pokoiku przeznaczanego na kancelarię. Popatrzyłam na rozłożone bochenki chleba. Jeśli im dam ten chleb aż wieczorem, to zasmakuję rozkoszy zemsty za te dni głodu, kiedy ani matka, ani mąż, ani ja nie mieliśmy co do ust włożyć. Tylko dla syna zachowałam wtedy woreczek mąki i tę rozgotowywałam na zupkę, którą dostawał dwa razy dziennie (nazywano to „czyr”). Jeśli im dam wcześniej, choćby zaraz, to nie poznam smaku odwetu – ale... nie będzie mi tak ciężko... Wszedł syn.

– Och, tyle chleba? Po co ci to?

– Dla pracowników...

– Co? Niemców będziesz karmić? Mamusiu ! Już zapomniałaś? Jeśli ci nieważne, cośmy sami przeszli, to przypomnij sobie te trupy na ulicach, opuchłe z głodu, tych Żydów pożerających każdy listek na krzaku... – syn mówił, a oczy jego lśniły nienawiścią.

Stał przede mną wysoki, szczupły, wychudzony, a właściwie zagłodzony. Lecz w domu miał już mleko, jaja, chleb, masło, ser. Już rozgospodarzył się w swoim pokoiku, już zbierał jakiś „szmelc” i majstrował sobie rower, radio, dzwonki. Już czytał rosyjski, wojskowy podręcznik o telefonach (który w ukryciu przewiózł przez granicę), już wyraźnie mówił o swoich studiach i ich kierunku. A teraz mówił gorąco i z przejęciem. Ale motorem tej mowy była nienawiść. Wyjrzała z jego oczu, żłobiła grymas koło jego świeżych ust, zaciskała jego pięści. Co to? Co z niego wyrośnie? I to mój syn? Zadzwoń! we mnie na alarm trwoga. Obudziła się czujność.

– Syneczku drogi – powiedziałam miękko. Proszę cię, abyś pozostał tutaj, kiedy rozdawać będę ten chleb Niemcom. Abyś patrzył uważnie na tych ludzi.

– Nie zostanę. Wiedziałem, że tak zrobisz!

– Czy będziesz się tego mego czynu wstydział?

Zastanowił się, spojrzął na mnie chmurnie i usiadł w milczeniu.

Wezwałam Niemkę i kazałam pokroić chleb, grube pajdy ułożyć na desce. Powiedziałam jej, że ci, którzy wykończyli swoją pracę, dostaną chleb. Poleciłam ich zawezwać, nie poszłam jednak na kontrolę. Przyszły tylko dwie starsze Niemki. Jedna z nich ze szlochom, powiedziała, że umyły tylko jedno okno, bo ręce opadały z braku sił. Kazałam wziąć chleb i iść do pracy.

Po chwili przyszły inne. Przesuwał się korowód ludzi głodnych, dygocących na widok chleba. Brali, dziękowali. Sławna „kultura” niemiecka wcale nie pomagała im w opanowaniu fizycznego głodu, szarpiącego wnętrzności.

– Danke – wysapywali z zaschłego gardła. Łykali kawały chleba, nie żując wcale. Aby prędzej... aby prędzej do żołądka. Siadali na schodach i szybko, szybko zniką pająda. Po chwili przyszła jedna z Niemek i ośmieliła się prosić o jeszcze jeden kawałek – dla syna, który chory leży w domu. Chciała zostawić mu tamten pierwszy kawałek, tłumaczyła się jękliwie, ale już dwa tygodnie nie jadła chleba. Nie miała siły powstrzymać się od jedzenia.

– A syn taki jak pani syn – uśmiechała się niezdarnie i nieśmiało, przyciskając rozdygotane dłonie do obwisłych piersi, spoglądała na mnie błagalnie.

O chleb nie było wówczas zbyt łatwo. Miasto przeżywało duże trudności, brak było mąki. Chleb wydawano wprawdzie bezpłatnie, ale tylko instytucjom dla ich zarejestrowanych pracowników. Nie zameldowani i nie pracujący chleba nie otrzymywali.

Syn zapytał mnie, czego chce ta Niemra. Powiedziałam mu... podałam jej kawał chleba i kazałam zanieść dziecku – NATYCHMIAST.

– Danke... danke... danke... – rozplakała się.

Mimo woli uśmiechnęłam się do niej. Matka rozumiała matkę. Poprzez nienawiść, jak słońce przez chmury, przebiło się pierwsze ludzkie uczucie: miłość macierzyńska. Syn patrzył na nas obie.

Po południu wydajność pracy Niemców wzmogła się. Wysiłali się jak mogli. Pot zalewał im oczy, ale pracowali. Wieczorem – po pracy – dostali po całym bochnie chleba.

Kiedy następnego dnia przyszłam na rynek po ludzi do pracy, już wczorajsi pracownicy prosili, abym ich wzięła. Wybrałam tych, co dobrze organizowali sobie pracę, co znali jej technikę. Odrzuciłam natomiast damule.

Praca postępowała szybko. Znikały góry śmieci w pokojach, a rósł kopiec na podwórzu. Uzyskałam, konie od komendanta jednostki radzieckiej. Wywoziłiśmy śmiecie na śmietnisko za miastem.

\* \* \*

Pewnego dnia stoję na dziedzińcu i swoją murzyńską niemczyzną dyryguję pracą ludzi. Wtem wpada człowiek, jest chudy jak szczapa. W zaropiałych oczach obłąd, zsiniałe wargi, w kącikach ust lepka ślina. Kuląc się jak skopany pies skamle:

– Bhoot ! Bhoot...

Nie rozumiem go. Budzi we mnie wstręt i odrazę. Mówię:

– Won!!

Kuli się jeszcze bardziej i ze zwierzęcym skowytem ucieka. Zatacza się, odbija od ściany. Patrzę za nim, a w uszach jęczy jego charkot: „Bhoot”. I nagle domyślam się... To było: „Brot” – chleba!

Zwracam się do jednego z Niemców. Każę zawołać uciekającego. Wybiega za nim na ulicę, po chwili wraca i melduje, że już go nie ma. Pytam, kto to był. Opowiadają nieco z ociąganiem, że to dawny członek partii, który ukrywa się gdzieś w piwnicy. Boi się ruskich i polskich władz. Lecz głód wygnał go z kryjóWKi.

Słucham i patrzę w głąb swoich uczuć. Jest różnica między okresem okupacji, a dzisiejszym dniem. Ilekroć patrzyłam w czasie okupacji na hitlerowca, wyobrażałam sobie rozkosz mordowania tego butnego bydlaka. Teraz mogłam ich bić lub zabić. A ja nie tylko nie biłam, ale dawałam im jeść. A to, że nie dałam chleba temu oszalałemu z głodu człowiekowi, poruszyło mnie do głębi. – To był jednak człowiek – myślałam. Hitleryzm jak każde zło przeszedł, człowiek został... Było mi źle i przykro...

\* \* \*

Płynął dzień za dniem. Codziennej 12÷14 godzinnej pracy, kierowanie ludźmi, by ich praca była jak najwydajniejsza, tłumienie najmniejszej chęci wykręcenia się od pracy – wyczerpywały mnie mocno.

Najbardziej jednak nękała myśl, co dam tej młodzieży, która tu przyjdzie niedługo. I jak mam to robić? Bo z czym ona przyjdzie, orientowałam się z grubsza. Próbką był mój syn. Toteż skwapliwie korzystałam z każdej okazji rozmawiania z nim, a nawet wypróbowywania na nim pewnych metod wychowawczych.

W miarę jak upływały dni pracy, wrastaliśmy w to ciche miasteczko. Domek co raz bardziej stawał się „naszym domkiem”.

My, ładowe szczury, które nigdy nie znały jezior, kochaliśmy już „nasze” jezioro. Ale ani pływać, ani wiosłować nie umieliśmy. Zresztą żadnej łódki nie było. Pływały natomiast po jeziorze... szafy.

Jedną masywną, głęboką, obserwowaliśmy oboje z synem przez kilka dni. Pływała i nie tonęła. Wobec tego uznaliśmy ją za zdatną na łódź. Syn wsiadł do niej i posługując się drągiem – pływał. Na razie przy brzegu. Lecz stopniowo nabierał odwagi, odpływał co raz dalej. Pewnego dnia przywiózł mi wodne lilie,

które rosły na drugim brzegu jeziora. Zamierałam z obawy, że może utonąć. Ale i mnie zaczęła nęcić ta jazda w szafie. I ja chciałam pływać po jeziorze. We dwoje było to niemożliwe, byłby to za wielki ciężar.

Sama więc weszłam do łodzi i zaczęłam płynąć. Ale syn mój bał się o mnie. Nie miał zaufania do mnie i moich zdolności żeglarskich.

Powiem Tatusiowi. To wstyd, żeby starsza, poważna pani zachowywała się jak chłopak...

Ale to niewiele pomogło. Zresztą zawsze byłam przekorna. Śmiałam się istotnie jak rozłobuzowany chłopak i poruszałam niezdarnie wiosłami-patykami.

Lecz na takie zabawy czasu nie stawało. Zabiegi o światło, o wodę, o meble, o żywność, o opał na zimę, o polskich pracowników, organizowanie domu dla własnej rodziny, łatanie rozlatujących się spodni i sukien, odżywianie nas mocno zagłodzonych – wszystko to absorbowowało moje dnie, a nieraz i noce.

Tempo prac w Internacie nabierało na sile. Z grupą Niemców krążyłam po mieście i zbierałam z ulic szafy, łóżka, stoły, krzesła, umywalki. Miałam pozwolenie ze Starostwa na zabieranie mebli z opuszczonych mieszkań i przywożenia ich do Internatu.. Ale wchodzenie do tych zamaryłych mieszkań – to przechodziło moje siły. Unikałam więc tego, jak mogłam.

Przez dziesięć dni 12÷15 osób wywoziło śmieci, myło ściany z kału, krwi i nawozu, wstawiało okna, naprawiało zamki, wodociągi, łazienki, kanalizację, światło elektryczne.

I bezustannie czegoś ode mnie żądano. A prawie zawsze tego, czego nie można było dostać. Ale żadna sprawa, czy to znalezienie na śmietniku niedziurawego wiadra, czy dobrej szczotki, całego worka, czy domycie ścian, posadzek, okien czy inne zabiegi nie absorbowwały mnie tak jak walka z... pierzem.

Było ono wszędzie. Przylepione, wbite, wklejone, przytłamszone, w kątach, na gzymsach, na szybach, na drzewach, na kwiatkach, w trawie, na bruku – wszędzie były go niezliczone ilości. Czerwcowe słońce wysuszało je, a lekki wiaterek unosił, przenosił, przerzucał, osadzał, podrywał i ciskał w inne, już uprzątnięte miejsca. Aż zaciskałam pięści, kiedy małe puszek zawirował gdzieś w pobliżu. Spoglądałabym nie inaczej na bakcyl tyfusu czy innej cholery.

– Ejże, doczekam się tej chwili, że zwalczę ciebie – szeptałam jak do żywej istoty.